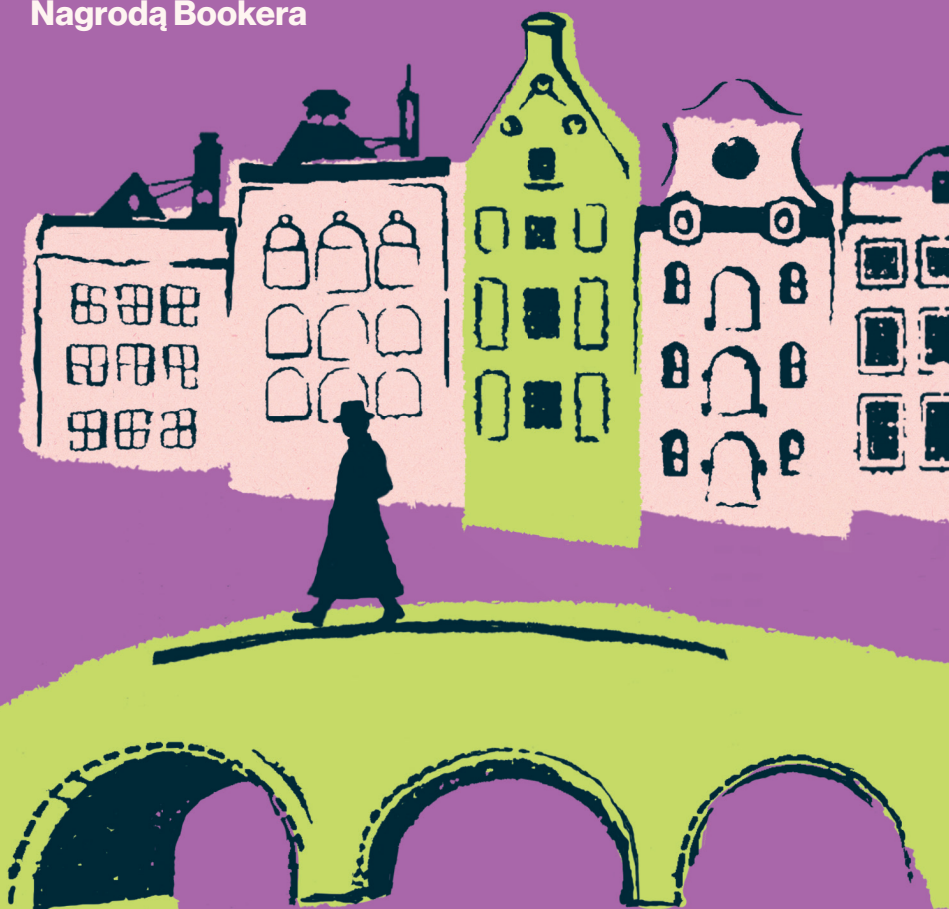


Amsterdam

Ian McEwan

Książka wyróżniona
Nagrołą Bookera



ALBATROS

Tytuł oryginału:
AMSTERDAM

Copyright © Ian McEwan 1998
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Robert Sudół 2003

Redakcja: Barbara Nowak

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

ISBN 978-83-6775-919-9

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

1

Dwaj byli kochankowie Molly Lane czekali przed kaplicą krematorium, odwrócenii plecami do lutowego chłodu. Wszystko już zostało powiedziane, ale odbębniłi to jeszcze raz:

- Nawet nie bardzo wiedziała, co ją dopadło.
- Gdy się wreszcie dowiedziała, było już za późno.
- Ale szybko się to potoczyło.
- Mhm.

Biedna Molly. Zaczęło się od łaskotania w ręce, kiedy ją podniosła przed lokalem Dorchester Grill, żeby zatrzymać taksówkę; uczucie to już nigdy nie minęło. W ciągu zaledwie paru tygodni słowa zaczęły jej wylatywać z głowy. „Parlament”, „chemia”, „śmigło” – mogła sobie darować, ale gorzej było z „łóżkiem”, „kremem” czy „lustrem”. Do lekarza poszła dopiero po tymczasowym wyparowaniu „rozdźwięca” i „cukinii”, spodziewając się, że doktor ją uspokoi. Zamiast tego wysłał ją na badania, z których w pewnym sensie nigdy

nie wróciła. Jakże szybko samodzielna Molly stała się pacjentem i więźniem swego ponurego, zaborczego męża imieniem George. Molly, osoba o ciętym dowcipie, recenzentka kulinarna, fotograf, zapalona ogrodniczka, którą kochał minister spraw zagranicznych i która w wieku czterdziestu sześciu lat wciąż umiała zrobić gwiazdę. Szybkość, z jaką padła pastwą obłędu i bólu, stała się tematem plotek – najpierw utrata władzy nad ciałem, a wraz z nią całkowity zanik poczucia humoru, potem zaś otępienie przerywane niekiedy napadami słabowitej furii i stłumionymi krzykami.

Na widok George'a, wyłaniającego się z kaplicy, dwaj kochankowie Molly oddalili się zachwaszczoną zwirową alejką. Weszli między klomby z różami, opatrzone tabliczką: Ogród Pamięci. Wszystkie kwiaty przycięto barbarzyńsko zaledwie kilka cali nad zmarzniętą ziemią, czego Molly nigdy nie pochwaliała. Połać trawnika zasłana była niedopałkami papierosów, gdyż właśnie w tym miejscu żałobnicy stali, oczekując, aż z kaplicy wyjdzie poprzedni kondukt. Dwaj przyjaciele, przechadzając się w tę i z powrotem, podjęli rozmowę, którą odbyli już co najmniej kilkakrotnie – chociaż za każdym razem miała inny przebieg – i z której mimo wszystko czerpali więcej pociechy, niż z odśpiewywania pieśni pogrzebowych.

Clive Linley poznał Molly jako pierwszy, jeszcze w 1968 roku, kiedy oboje byli studentami i tworzyli razem pełne rozgardiaszu, nieustatkowane ognisko domowe

w Vale of Health.

– To straszne tak odejść.

Patrzył, jak jego parujący oddech rozplywa się w szarym powietrzu. Na ten dzień zapowiedziano jedenaście stopni mrozu w centrum Londynu. Jedenaście stopni mrozu. Doszedł do wniosku, że ze światem jest coś poważnie na opak, i to nie z winy Boga czy też dlatego, że Go nie ma. Pierwsze nieposłuszeństwo człowieka, jego Upadek – opadająca figuracja, obój, dziewięć nut, dziesięć nut. Clive miał słuch doskonały; usłyszał je teraz, zstępujące od G. Nie musiał ich zapisywać.

– To znaczy umrzeć w ten sposób – ciągnął – nie mając świadomości, jak zwierzę. Zostać odartym ze wszystkiego, zostać tak poniżonym, nim zdąży się załatwić wszystkie sprawy lub choćby pożegnać z bliskimi. Wlazło to w nią, no i...

Wzdrygnął się. Doszli do końca zdeptanego trawnika, zawrócili i ruszyli z powrotem.

– Wolałbym się zabić, niż tak skończyć – powiedział Vernon Halliday. Był z Molly przez rok w Paryżu w 1974 roku, kiedy to dostał swą pierwszą posadę w Agencji Reutera, a ona robiła coś dla magazynu „Vogue”.

– Nie dość, że mózg jej wysiadł, to na domiar złego znalazła się w szponach George’a – dodał Clive.

George’a, smutnego, zamożnego wydawcy, który świata poza nią nie widział i którego, ku zdziwieniu wszystkich, nigdy nie opuściła, choć zawsze źle go

traktowała. Clive i Vernon patrzyli teraz w kierunku kaplicy, przed którą stał George, odbierając kondolencje od grupy żałobników. Śmierć Molly uwolniła go od powszechnej pogardy. Wydawało się, że urósł kilka cali, wyprostował plecy, głos mu pogrubiał, a nowe poczucie godności zwęziło chciwe oczy o błagalnym wejrzeniu. Odmówił oddania Molly do domu opieki i pielęgnował ją osobiście. Co więcej, w pierwszych dniach, kiedy ludzie chcieli ją jeszcze odwiedzać, stał się odźwiernym. Skrupulatnie racjonował jej Clive'a i Vernona, ponieważ uznał, że wprawiają ją w niezdrową ekscytację, a potem z kolei w przygnębienie. Inny ważny w życiu Molly mężczyzna, minister spraw zagranicznych, również był niemile widziany. Zaczęto szeptać, w kilku kolumnach towarzyskich ukazały się zdawkowe wzmianki. Ale potem sprawa przestała mieć znaczenie, bo poszła plotka, że Molly w straszliwy sposób się odmieniła i zupełnie przestała być sobą, więc nie chciano jej więcej odwiedzać i cieszo się w duchu, że jest George, który to utrudnia. Clive i Vernon jednak z upodobaniem wciąż go nienawidzili.

Kiedy robili kolejny zwrot na trawniku, w kieszeni Vernona zadzwonił telefon. Vernon przeprosił Clive'a i odszedł na stronę, zostawiając przyjaciela samego. Clive okutał się szczerzej paltem i zwolnił kroku. Pod krematorium stał teraz co najmniej dwuosobowy tłum w czarnych ubraniach. Wpadało dołączyć i zamienić z George'em choć słowo. Doczekał się,

wreszcie miał ją tylko dla siebie – kiedy już nie rozpoznawała swej twarzy w lustrze. Nigdy nie zyskał żadnego wpływu na jej sprawy, ale w końcu należała wyłącznie do niego. Clive tracił z wolna czucie w stopach; gdy zaczął tupać, rytm przypomniał mu o opadającej figuracji dziesięciu nut – ritardando, rożek angielski i budzące się delikatnie, kontrapunktycznie, wiolonczele w lustrzanym odwróceniu. W nim jej twarz. Koniec. Pragnał teraz tylko ciepła i ciszy swej pracowni, fortepianu, pisanej partytury i dobrnięcia do końca.

– W porządku – usłyszał pożegnalne słowa Vernona. – Przepisz to i daj na czwartą stronę. Będę za parę godzin. – Następnie Vernon rzekł do Clive’a: – Cholerni Izraelczycy. Powinniśmy podejść.

– Chyba tak.

Wykonali jednak kolejny zwrot na trawniku, bo przecież byli tam po to, żeby pogrzebać Molly.

Gwałtownym wysiłkiem woli Vernon uwolnił się na chwilę od trosk redakcyjnych.

– Była śliczną dziewczyną. Pamiętasz stół do bilardu?

W 1978 roku grupa przyjaciół wynajęła duży dom w Szkocji na Boże Narodzenie. Molly i facet, z którym wtedy chodziła, adwokat nazwiskiem Brady, stworzyli żywy obraz Adama i Ewy na nieużywanym stole bilardowym, on w slipach, ona w staniku i majtkach, podpórka do kija wyobrażała zaś węża, a czerwona

bila – jabłko. Jednak wersja, którą puszczono w obiegu, która pojawiła się w artykule pośmiertnym i w którą uwierzyli nawet uczestnicy tego przedstawienia, mówiła, że „w Wigilię Molly tańczyła nago, jak ją Pan Bóg stworzył, na stole bilardowym w szkockim zamku”.

– Śliczną – powtórzył Clive.

Kiedy udawała, że nadgryza jabłko, popatrzyła mu prosto w oczy, uśmiechając się lubieżnie i kręcąc zuchwą, z dłonią na wysuniętym biodrze, niczym musicalowa parodia kokoty. Uznał, że swym uporczywym spojrzeniem daje mu znak i rzeczywiście, już w kwietniu się zeszli. Wprowadziła się do jego pracowni na South Kensington i została aż do jesieni. Działo się to w okresie, kiedy jej artykuły o jedzeniu zyskały rozgłos, kiedy ogłosiła wszem i wobec w telewizji, iż przewodnik kulinarny Michelina to „kuchnia kiczu”. Było to również w czasie jego pierwszego wstępu, w czasie *Wariacji orkiestrowych* w Festival Hall. Ich drugie podejście. Ona niewiele się zmieniła, on wprost przeciwnie. Po dziesięciu latach zmądrzał na tyle, by przekazać jej ster. Należał do nadgorliwych. Dzięki niej poznał dyskretną erotykę, uświadomił sobie okazjonalną potrzebę bezruchu. Leż spokojnie, o tak, popatrz na mnie, naprawdę popatrz na mnie. Jesteśmy bombą zegarową. Zbliżał się wtedy do trzydziestki, a więc wedle współcześnie obowiązujących norm był opóźniony w rozwoju. Kiedy

znalazła sobie mieszkanie i spakowała walizki, poprosił ją o rękę. Pocałowała go i uraczyła cytatem do ucha: „By nie odeszła, wziął ją do ołtarza, dziś już bez niej nic mu się nie zdarza”. Dokonała słusznego wyboru, bo kiedy się wyprowadziła, poczuł się szczęśliwszy w samotności niż kiedykolwiek dotąd i w niespełna miesiąc napisał *Trzy pieśni jesienne*.

– Nauczyłeś się czegoś od niej? – zapytał zniechęca.

W połowie lat osiemdziesiątych Vernon również miał powtórkę na wakacjach w Umbrii. Potem ożenił się i został rzymskim korespondentem gazety, której obecnie szefował.

– Nigdy nie pamiętam, co się dzieje w łóżku – odparł.
– Ale jestem pewien, że było nadzwyczajnie. Pamiętam jednak, że nauczyła mnie wiele o borowikach. Jak je zbierać i przyrządzać.

Clive uznał jego słowa za unik i powstrzymał się od zwierzeń. Spojrzał w kierunku kaplicy. Należało tam podejść.

– Wiesz, powinienem był się z nią ożenić – rzekł bez ogródek, zaskakując samego siebie. – Kiedy choroba by ją dopadła, udusiłbym ją poduszką albo coś w tym rodzaju i uchronił od powszechnego współczucia.

Roześmiewszy się, Vernon wyprowadził przyjaciela z Ogrodu Pamięci.

– Łatwo powiedzieć. Już widzę, jak piszesz pieśni dla współskazańców jak ta, no, jak ona się nazywała, ta sufrażystka?

– Ethel Smyth. Byłbym w tym o wiele lepszy od niej.

Przyjaciele Molly, z których składał się kondukt, woleliby się spotkać gdzie indziej niż w krematorium, ale George dał jasno do zrozumienia, że nie będzie nabożeństwa pogrzebowego. Nie chciał słuchać, jak z ambony u Świętego Marcina czy Jakuba jej trzej byli kochankowie publicznie dzielą się wrażeniami, ani być świadkiem, jak wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, gdy on wygłasza swoją mowę. Podchodzących Clive’a i Vernona wchłonął typowy gwar przyjęcia koktajlowego. Brakowało wprawdzie tac z szampanem i ścian, które odbijałyby dźwięk, ale poza tym można było odnieść wrażenie, że jest się na kolejnym wernisażu albo kolejnym otwarciu dla mediów. Clive zobaczył mnóstwo twarzy, których nigdy dotąd nie oglądał przy dziennym świetle; wyglądały strasznie, jak oblicza truposzy, które zerwały się na nogi, by powitać nowicjusza w swym gronie. Ożywiony tym napadem mizantropii, ruszył płynnie przez tłum, puszczając mimo uszu wołania po imieniu, wyrывая łokieć, kiedy go za niego chwymano, zdążając uparcie do miejsca, gdzie stał George zajęty rozmową z dwiema kobietami i zasuszonym starym facetem z laską i w kapeluszu.

– Ale zimno, musimy już iść! – zawołał ktoś, ale przez chwilę nikt nie potrafił się oprzeć sile dośrodkowej towarzyskiego zebrania.

Clive stracił z oczu Vernona, którego odciągnął na

bok właściciel stacji telewizyjnej.

Wreszcie uściślił rękę George'owi w umiarkowanie szczerym wyrazie uczuć.

– To był wspaniały pogrzeb – rzekł.

– Bardzo miło z twojej strony, że przyszedłeś.

Jej śmierć go uszlachetniła. Spokojna godność nie leżała w naturze George'a, którego zawsze cechowała posepność i natarczywość. Pragnął być lubiany, ale w życzliwości zawsze doszukiwał się niecnym motywów. Oto brzemię dźwigane przez nadzwyczaj bogatych.

– Najmocniej przepraszam – powiedział – to są siostry Finch, Vera i Mini, które znały Molly jeszcze w Bostonie. Clive Linley.

Podali sobie dłonie.

– Pan jest tym kompozytorem? – zapytały Vera i Mini.

– Owszem.

– To zaszczyt pana poznać. Moja jedenastoletnia wnuczka nauczyła się pańskiej sonatiny na egzamin. Naprawdę bardzo ją lubi.

– Miło mi to słyszeć.

Clive'a lekko przygnębiała myśl, że dzieci grają jego utwory.

– A to – odezwał się George – jest Hart Pullman, również ze Stanów.

– Hart Pullman. Nareszcie. Czy pamięta pan, że skomponowałem do pańskiej *Furii* muzykę na orkiestrę jazzową?

Pullman był poetą beatnikowym, ostatnim z pokolenia Kerouaca. Stał się małym pomarszczonym jaszczurem, który z trudem skręcał szyję, by spojrzeć na Clive'a.

– Dziś już, kurwa, nic nie pamiętam – odparł wesoło mocnym, wysokim głosem. – Ale skoro mówisz, że skomponowałeś, to pewnie tak było.

– Ale Molly pan pamięta?

– Kogo? – Przez dwie sekundy Pullman zachowywał poważną minę, po czym zachichotał i szczupłymi białymi palcami chwycił Clive'a za rękaw.

– No jasne – odparł głosem królika Bugsa. – Sześćdziesiąty piąty w East Village. Pamiętam Molly. A jakże!

Clive skrył swoje zakłopotanie i dokonał obliczeń w myśli. W czerwcu sześćdziesiątego piątego miałyby dopiero szesnaście lat. Dlaczego nigdy o nim nie wspomniała?

– Pewnie przyjechała na lato? – próbował ostrożnie drażnić sprawę.

– Ehe. Na urządzaną przeze mnie mocno zakrapianą imprezę w wigilię Trzech Króli. Co to była za dziewczyna, nie, George?

Zatem ustawowy gwałt. Trzy lata przed nim. Nigdy nie mówiła o Harcie Pullmanie. Czy przyszła na prawykonanie *Furii*? A potem do restauracji? Dziś już, kurwa, nic nie pamięta.

George odwrócił się, by kontynuować rozmowę z

dwiema siostrami z Ameryki. Uznawszy, że nie ma nic do stracenia, Clive przyłożył dłoń do ust, nachylił się i szepnął Pullmanowi do ucha:

– Nigdy jej nie pieprzył, ty kłamliwy gadzie. Nie zniżyłaby się do tego.

Wcale nie zamierzał odejść po tych słowach, gdyż chciał usłyszeć odpowiedź, ale właśnie w tej chwili dwie liczne grupy wepchały się z lewa i prawa, jedna, by złożyć kondolencje George'owi, druga, by wyrazić swój szacunek dla poety. W wirze przetasowań Clive zorientował się nagle, że znalazł się z brzegu i odchodzi na stronę. Hart Pullman i nastoletnia Molly. Zdjęty wstrętem, zawrócił, wwiercił się znów w tłum i łaskawie ignorowany przez wszystkich zatrzymał się na małej polance, patrząc dokoła po twarzach przyjaciół i znajomych pochłoniętych rozmową. Poczuł, że jest jedynym człowiekiem, któremu brak Molly. Być może, gdyby się z nią ożenił, zachowywałby się gorzej niż George i nie przystałby nawet na to zgromadzenie. Ani na jej bezradność. Wysypałby na dłoń trzydzieści pigułek nasennych z kanciastej brązowej buteleczki. Tłuczek i moździerz, szklanka whisky. Trzy łyżki żółtobiałej papki. Kiedy by to zażywała, spojrzalaby na niego, jak gdyby wiedziała o wszystkim. Podstawiłby jej lewą dłoń pod podbródek, żeby złapać to, co wycieknie z ust. Trzymałby ją w objęciach, podczas gdy ona by zasypiała. Trzymałby ją przez całą noc.

Nikt inny za nią nie tęsknił. Clive rozejrzał się po

żałobnikach, z których wielu było jego rówieśnikami w zaokrągleniu do roku czy dwóch. Jak dobrze się im powodziło, jakże wpływowymi ludźmi się stali, jakże rozkwitli pod rządami gabinetu, którym pogardzali przez niemal siedemnaście lat. *Mówiąc o mym pokoleniu*. The Who. Tyle energii i tyle fartu. Wykarmieni zdrowym mlekiem państwa w ciepłe powojennych rozstrzygnięć, następnie utuczeni pionierską, niewinną pomyślnością swych rodziców, wkroczyli wreszcie w dorosłość pośród pełnego zatrudnienia, nowych uniwersytetów, masowo wydawanych kolorowych książek, rozkwitu rock and rolla, sprzedajnych ideałów.

Kiedy w końcu drabina się pod nimi zapadła, kiedy troskliwe państwo zabrało cyca i przeobraziło się w macochę, siedzieli już bezpiecznie na szczytach, skonsolidowani, zdecydowani wykuwać to i owo – gusta, opinie, fortuny.

– Idę, bo już nie czuję nóg ani rąk! – usłyszał wesołe wołanie jakiejś kobiety. Odwróciwszy się, zobaczył przed sobą młodego mężczyznę, który właśnie chciał dotknąć jego ramienia. Mniej więcej dwadzieścia pięć lat, łysy albo ogolony do gołej skóry, w szarym garniturze bez palta.

– Pan Linley? Przepraszam, że przeszkadzam w skupieniu – rzekł nieznajomy, cofając rękę.

Clive sądził, że to muzyk lub łowca autografów, przywdział zatem maskę cierpliwości na twarz.

– Słucham?

– Pragnę zapytać, czy znalazłby pan chwilę, by podejść i zamienić słowo z ministrem spraw zagranicznych? Bardzo mu zależy, żeby pana poznać.

Clive zacisnął usta. Nie chciał być przedstawiony Julianowi Garmony'emu, ale zarazem nie miał ochoty robić mu afrontu. Sytuacja bez wyjścia.

– Dobrze, gdzie jest minister? – zapytał. Został poprowadzony między gromadkami swych przyjaciół, z których niejeden domyślał się, dokąd idzie, i próbował go odciągnąć od przewodnika.

– Ej, Linley! Nie gada się z wrogiem!

Istotnie, wróg. Co ją w nim pociągało? Facet wyglądał dziwacznie: wielki łeb, mnóstwo czarnych falistych włosów, wszystkie prawdziwe, okropnie blada twarz, wąskie, mało zmysłowe usta. Klientelę na politycznym targowisku zaskarbił sobie straganem z niespotykanym towarem, jakim były ksenofobiczne i reakcyjne poglądy. Co ją w nim pociągało? Vernon zawsze miał gotową odpowiedź na to pytanie: skurwiel na szczytach władzy, do tego ostry w łóżku. Ale przecież mogła to znaleźć i gdzie indziej. W grę musiał wchodzić jakiś ukryty dar, który doprowadził Garmony'ego aż tak wysoko, a teraz pchał go do rywalizacji z premierem o jego stanowisko.

Sekretarz wprowadził Clive'a w krągokoła ministra, który najwyraźniej wygłaszał mowę albo opowiadał jakąś historię. Garmony przerwał, wsunął palce w dłoń Clive'a i mruknął napiętym głosem, jak

gdyby byli sami:

– Od lat chciałem pana poznać.

– Jak się pan miewa?

Przemawiał do towarzystwa, wśród którego znajdowali się dwaj młodzi mężczyźni o miłym, jawnie nieuczciwym spojrzeniu dziennikarzy parających się aktualnościami. Minister odstawiał przedstawienie, a Clive był jego rekwizytem.

– Moja żona zna na pamięć kilka pańskich utworów fortepianowych.

No nie, znowu. Clive się zastanawiał. Czy jest aż tak obłąskawionym i banalnym twórcą, jak utrzymują niektórzy jego młodszy krytycy, czy też Góreckim ludzi myślących?

– Zatem musi być świetną instrumentalistką.

Minęło trochę czasu, odkąd spotkał się z politykiem twarzą w twarz, i zupełnie zapomniał o ruchach oczu, o niespokojnym patrolowaniu otoczenia w poszukiwaniu nowych słuchaczy lub odstępców, o wypatrywaniu osób wyższych rangą albo innej poważnej szansy, którą w przeciwnym razie można przegapić.

Garmony potoczył wzrokiem dokoła, by utrzymać na sobie uwagę publiczności.

– Była znakomita. Konserwatorium Goldsmitha, potem Guildhall. Miała przed sobą bajeczną karierę... – Urwał dla efektu komicznego. – No ale potem poznała mnie i wybrała medycynę.

Jedynie sekretarz i jakaś kobieta – też podwładna

ministra – zachichotali. Dziennikarze stali nieporuszeni. Być może słyszeli to nie pierwszy raz.

Oczy ministra spraw zagranicznych spoczęły z powrotem na kompozytorze.

– Jeszcze jedno. Chciałem panu powinszować zamówienia *Symfonii Milenijnej*. Czy pan wie, że decyzja stanęła aż na szczeblu gabinetu?

– Słyszałem. I pan opowiedział się za mną.

Clive pozwolił sobie na cień znużenia w głosie, ale Garmony zareagował, jak gdyby podziękowano mu wylewnie.

– Och, przynajmniej tyle mogłem zrobić. Niektórzy moi koledzy chcieli tego gwiazdora muzyki pop, byłego Beatlesa. A przy okazji, jak panu idzie? Jesteśmy blisko końca?

– Bardzo blisko.

Ręce i nogi miał skostniałe od pół godziny, ale dopiero w tej chwili chłód przeniknął go na wskroś. W ciepłej pracowni siedziałby w samej koszuli, ślęcząc nad ostatnimi stronami symfonii, bo od prawykonania dzieliło go ledwie kilka tygodni. Przekroczył już dwa terminy i niczego tak nie pragnął, jak znaleźć się szybko w domu.

Wyciągnął rękę do Garmony'ego.

– Bardzo miło było pana poznać. Muszę już iść.

Ale minister nie uścisnął jego dłoni, tylko mówił dalej, gdyż z obecności sławnego kompozytora należało wyciągnąć nieco więcej korzyści.

– Wie pan, zawsze uważałem, że to właśnie twórcza wolność artystów pańskiego pokroju sprawia, że moja praca warta jest zachodu...

Popłynęło więcej słów na podobną nutę, tymczasem Clive patrzył przed siebie, nie zdradzając żadnych oznak wzbierającego w nim niesmaku. Garmony też był z jego pokolenia. Wysoki urząd zabił w nim umiejętność rozmawiania z obcym jak równy z równym. Być może to właśnie dostawała od niego w łóżku – podniecenie bezosobowością. Mężczyzna strojący miny przed lustrem. Ale przecież wołała emocjonalne ciepło. Leż spokojnie, popatrz na mnie, naprawdę popatrz na mnie. Molly i Garmony. Może to był po prostu błąd z jej strony. Tak czy owak, myśl o tym stała się dla Clive'a nie do zniesienia.

Były kochanek Molly doszedł do pointy:

- To jest tradycja, która czyni nas tymi, kim jesteśmy.
- Ciekawi mnie – odezwał się Clive – czy wciąż opowiada się pan za wieszaniem ludzi.

Garmony znakomicie poradził sobie z nagłą zmianą frontu, tylko jego oczy zlodowaciały.

– Wydaje mi się, że większość ludzi zna mój pogląd w tej kwestii. Na razie zaś rad nierad przyjmuję stanowisko parlamentu i zbiorową odpowiedzialność rządu. – Wyszedłszy z zaczepki obronną ręką, zrobił się raptem czarujący.

Dwaj dziennikarze z notatnikami przysunęli się nieco bliżej.

– Podobno powiedział pan kiedyś w jakimś przemówieniu, że Nelson Mandela zasługuje na powieszenie.

Garmony, który w następnym miesiącu wybierał się z wizytą do Afryki Południowej, uśmiechnął się spokojnie. Dawne przemówienie, do którego nawiązał Clive, wygrzebała ostatnio gazeta Vernona, poczynając sobie w dość rynsztokowym stylu.

– Uważam, że zarzucanie ludziom tego, co powiedzieli jeszcze jako w gorącej wodzie kąpani studenci, nie ma większego sensu. – Przerwał i zachichotał. – Minęło prawie trzydzieści lat. Założę się, że pan też niejedno mówił i myślał.

– Ależ naturalnie – odparł Clive. – Co tylko dowodzi mojej racji. Bo gdyby wówczas wyszło na pańskie, to dziś byłoby za późno na zmianę zdania.

Garmony skłonił lekko głowę w wyrazie zgody.

– Całkiem słusznie. Tyle tylko, drogi panie, że w rzeczywistym świecie żaden wymiar sprawiedliwości nie jest wolny od ludzkich omyłek.

Po tych słowach minister spraw zagranicznych zrobił coś niebywałego, co obróciło w pył teorię Clive'a o wpływach wysokiego urzędu na jednostkę i co z perspektywy czasu zmuszony był podziwiać. Garmony wyciągnął bowiem rękę, kciukiem i palcem wskazującym chwycił Clive'a za wyłóg palta i przyciągnąwszy go ku sobie, powiedział ściszym głosem, by nikt inny nie usłyszał:

– Kiedy widziałem Molly ostatni raz, powiedziała, że jesteś i zawsze byłeś impotentem.

– Brednie. Na pewno tak nie powiedziała.

– Oczywiście się wypierasz. Zatem albo możemy podyskutować o tym głośno w obecności tych ludzi, albo w tej chwili zejdź ze mnie i ładnie się pożegnaj. Innymi słowy, spierdalaj.

Szytych został wyprowadzony zniecka i szybko, a gdy dotarł do celu, Garmony wyprostował się i rozpromieniony potrząsnął ręką kompozytora, wołając do swego sekretarza:

– Pan Linley łaskawie przyjął moje zaproszenie na kolację!

Być może był to uzgodniony szyfr, gdyż młody mężczyzna zbliżył się natychmiast, by odprowadzić Clive'a, któremu minister pokazał już plecy, zwracając się do dziennikarzy:

– Wspaniały człowiek, ten Clive Linley. Podkreślać dzielące nas różnice i jednocześnie pozostawać na przyjacielskiej stopie. Nie uważają, państwo, że to kwintesencja kultury?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).